Wojciech ŁĄCZKOWSKI

PRAWO NATURALNE A PRAWO STANOWIONE
Uwagi prawnika

O podstawowych normach moralnych, na których ma się opierać prawo stanowione, podobnie jak o prawdzie przyrodniczej, nie ma sensu rozstrzygać w oparciu o głosy większości. Co byłoby warte referendum, w którym większość opowiedziałaby się za pozbawianiem ludzi własności, unicestwieniem jakiejś klasy społecznej lub nawet rasy ludzkiej?

Dylematy związane z relacją prawa naturalnego do prawa stanowionego przez państwo znajdują swój wyraz w kontrowersjach dotyczących związku prawa z moralnością. Dyskusje wokół tego problemu, chociaż trwają od wieków (przykładem pochodzącym ze starożytności może być tragedia Sokratesa), drastycznie zaostrzyły się w ostatnim stuleciu pod wpływem pozytywizmu prawnego, który pojawił się wprawdzie w Anglii (John Austin), ale ze szczególną siłą rozwinął się w Niemczech (Karl Bergbohm, Rudolf von Ihering, Georg Jellinek i inni).

Trwające do dzisiaj spory mają nie tylko wymiar teoretyczny. Ich praktyczne znaczenie ujawnia się najczęściej w sytuacjach dotyczących rudymentów cywilizacyjno-kulturowych. W odniesieniu bowiem do zdecydowanej większości prawa stanowionego dyskusje nad związkami prawa z moralnością mają charakter gabinetowy, są sporami profesorskimi. Trudno byłoby poważnie rozważać te dylematy na tle przepisów regulujących na przykład ruch drogowy, większości przepisów porządkowych dotyczących drobnych spraw życia codziennego, wielu przepisów z zakresu prawa cywilnego, finansowego itd. Natomiast – jeśli pominąć całe zbrodnicze systemy prawa, takie jak prawo nazistowskie czy komunistyczne – w państwach demokratycznych istnieje stosunkowo nieliczna grupa przepisów, które właśnie przez to, że pozostają w ścisłym związku z normami moralnymi, nie tylko pozwalają ocenić wartość danego systemu prawa, ale ukazują charakter państwa, które takie prawo kreuje. Dzieje się tak wówczas, gdy owe przepisy dotykają spraw zasadniczych z punktu widzenia aksjologii stanowiącej podstawę cywilizacyjno-kulturową tego państwa.

Z kilkoma takimi sprawami zetknąłem się jako sędzia polskiego Trybunału Konstytucyjnego. W szczególności chodziło o sprawy, w których trzeba było rozwiązywać między innymi problem krzyży w miejscach publicznych, nauczania religii w szkołach, wartości chrześcijańskich w ustawie o radiofonii i tele-

wizji, tak zwanej aborcji. Zwłaszcza ta ostatnia sprawa ściśle koresponduje z tytułem referatu i może stanowić dobry punkt wyjścia do dalszych rozważań.

Rozważania te chciałbym rozpocząć refleksją uogólniającą. Obserwowany w wielu państwach upór w dążeniu do legalizacji przerywania życia dzieci w pierwszym okresie po poczęciu na żądanie ich matek poprzedza na ogół próby legalizowania eutanazji i homoseksualizmu. Same te zjawiska znane są wprawdzie ludzkości od bardzo dawna, jednak dopiero obecnie, pod koniec XX wieku, zaczyna nam zagrażać jakaś złowieszcza triada przybierająca postać zachowań legalnych, a więc akceptowanych przez prawodawcę państwowego. Jest to zdumiewające tym bardziej, że każde z tych zachowań działa przeciwko życiu ludzkiemu. Pierwsze dwa polegają na unicestwianiu życia już istniejącego, trzecie uniemożliwia powstanie nowego życia. Takie całościowe spojrzenie na te sprawy nasuwa myśl o tworzeniu się z pomocą prawa stanowionego przez państwo jakiejś nowej, złowieszczej cywilizacji śmierci wymierzonej przeciwko człowiekowi. Przy czym problemem nie jest tu – przynajmniej obecnie – ilościowy zakres tych zjawisk, lecz zapoczątkowanie niebezpiecznego trendu cywilizacyjno-kulturowego przy zaangażowaniu autorytetu państwa.

Powyższa refleksja stanowi punkt, w którym należy poważnie odnieść się do pozytywistycznej koncepcji oddzielenia prawa od moralności. Jeśli się tego nie zrobi, straci na tym przede wszystkim samo prawo.

Świat prawa jest rozległy, a jego granice mało ostre. Tym bardziej stają się one niewyraźne, im dalej ustawodawca państwowy odchodzi od prawdy i za pomocą sztucznego, konwencjonalnego języka zaczyna tworzyć nowe pojęcia i nowe wartości. Do roli symbolu urosła już znana formuła prawa wodnego stwierdzająca, że „w rozumieniu niniejszej ustawy rak jest rybą". Można zadumać się nad prawodawcą, który stanowi takie prawa, ale można także uśmiechnąć się nad dolą prawników, którzy z całą powagą swojego urzędu muszą te prawa stosować. Jest to przykład anegdotyczny i humorystyczny. Gorzej, jeśli ustawodawca z podobną łatwością, wbrew prawdzie i naturze, ustanawia prawa mające poważne następstwa w sferze życia, wolności czy własności człowieka. W takich przypadkach prawnikom można współczuć, jeśli godzą się stosować niemądre, niesprawiedliwe lub nawet zbrodnicze prawa. Natomiast ustawodawcy odpowiadają za to, że takie prawa ustanowili i mocą władzy państwowej zmuszają innych do posłuszeństwa.

Przyczyna tych zjawisk może znajdować się albo w błędnej, nieumiejętnie prowadzonej legislacji, albo ma głębsze podłoże znajdujące się na styku z normami moralnymi. O ile tę pierwszą przyczynę jest stosunkowo łatwo usunąć, o tyle ta druga jest wynikiem świadomych działań prawodawcy państwowego, zmierzającego do osiągnięcia celów pozostających często w ostrej opozycji do norm moralnych. Do tej kategorii zaliczyć należy przepisy dotyczące takich rudymentów kulturowych, jak na przykład ochrona życia człowieka, jego godności, wolności czy własności.

Główne dylematy wynikające z relacji prawa do moralności dadzą się ująć w formę trzech pytań.

Pierwsze, fundamentalne pytanie brzmi: czy prawo stanowione przez państwo jest wartością samoistną i czy dla pojęcia państwa prawa wystarczy, aby wszyscy jego obywatele postępowali według reguł tego prawa bez względu na jego treść?

Z powyższym łączy się kolejne pytanie: do jakich celów ma prowadzić prawo i czy cele te mogą być wyznaczane przez prawodawcę państwowego bez żadnych ograniczeń i bez względu na to, czy chodzi o układ monocentryczny, totalitarny czy o siły polityczne, które w demokratycznych wyborach zdobyły większość parlamentarną? Albo – czy cele te mają charakter obiektywny i – przynajmniej w głównym zarysie – uniwersalny, ponadczasowy, wynikający z prawd niezależnych od poglądów poszczególnych polityków lub grup społecznych, choćby nawet w danym momencie stanowiły one większość parlamentarną?

Powyższe rzadko formułowane pytania wywołują wreszcie trzecie, równie fundamentalne pytanie: jaka jest istota, sens demokracji? Odnieść można wrażenie, że poza nielicznymi przedstawicielami doktryny prawa naturalnego, politycy i prawnicy najczęściej unikają tego pytania. Odpowiedź na nie jest bowiem, wbrew pozorom, niełatwa.

Jeśli chodzi o sprawę pierwszą, to jest o pytanie, czy prawo jest wartością samą w sobie, co pozwoliłoby stawiać je wysoko, niekiedy nawet na najwyższym miejscu w hierarchii wartości, bez względu na jego treść, to z formalnego punktu widzenia odpowiedzi należy szukać w konstytucji. Polska Konstytucja w artykule 2. deklaruje, że Rzeczpospolita Polska jest demokratycznym państwem prawnym. Prawu nadano zatem już na początku Konstytucji rangę najwyższą. Podobny stosunek do prawa ma większość środowisk prawniczych i wybitnych przedstawicieli nauki. Często od nich słyszymy, że prawo jest wartością samoistną, że należy się mu bezwzględny szacunek i posłuszeństwo, że jest gwarantem ładu i jedynym wyznacznikiem sprawiedliwości. Takie poglądy formułowane są także wobec złego prawa do czasu, aż zostanie ono przez prawodawcę zmienione lub uchylone. Innymi słowy, zgodnie z tymi poglądami nasza własna ocena prawa nie może mieć wpływu na nasze postępowanie, które zawsze musi odpowiadać temu, co w normach prawnych wyraził ustawodawca. Jest to pogląd od lat ugruntowany, ostatnio głównie pod wpływem doktryny pozytywistycznej i – trzeba przyznać – bardzo słuszny w odniesieniu do dobrego prawa.

Problem komplikuje się jednak wówczas, gdy poglądy te głosi się bezwarunkowo, także wobec prawa oczywiście niegodziwego. Przecież podobnych argumentów chętnie używali funkcjonariusze III Rzeszy Niemieckiej czy zwolennicy doktryny marksistowskiej od czasu, gdy zdołali przekształcić dawne

prawo na swoje potrzeby i tak zwana czujność rewolucyjna nie była im już potrzebna.

Powyższe poglądy oparte są na przeświadczeniu, że normy prawa stanowionego obowiązują dlatego tylko, że pochodzą od uprawnionego prawodawcy (tak zwany tetyczny charakter prawa), a ich ewentualny związek z normami moralnymi jest z tego punktu widzenia bez znaczenia. Przedstawiciele pozytywizmu prawnego twierdzą bowiem, że te dwa rodzaje norm stanowią odrębne, niezależne od siebie systemy. Stąd do dzisiaj radzi się niekiedy prawnikom (na przykład w czasie szkoleń aplikantów), aby swoje osobiste przekonania i zasady etyczne odłożyli na godziny pozaurzędowe, a podczas pełnienia obowiązków służbowych, bez ewentualnych skrupułów czy wyrzutów sumienia, jak najdokładniej realizowali wolę prawodawcy państwowego, nawet jeżeli drastycznie odbiega ona od ich osobistych przekonań.

Twierdzenia te wydają się na tyle oczywiste, że niezwykle rzadko są publicznie kwestionowane, nie wspominając już o niebezpieczeństwie podniesienia groźnego zarzutu nawoływania do nieposłuszeństwa wobec prawa.

Są jednak sytuacje, w których powyższa sprawa przestaje być taka oczywista, zwłaszcza na tle drugiego pytania, a mianowicie: jakim celom prawo ma służyć i kto określa wartości, które prawo ma chronić? Jeśli bowiem okaże się, że cele są niegodziwe, a system wartości przyjęty jako podstawa stanowionego prawa jest sprzeczny z uniwersalnymi wartościami uznanymi przez nas za najważniejsze, powstaje bardzo poważny dylemat moralny, wymagający rozwiązania odpowiednio do przyjętej przez nas hierarchii. Wbrew bowiem wspomnianym wyżej pozornym oczywistościom, istnieje jednak potrzeba dokonania wyboru: czy być nieposłusznym wobec obowiązującego prawa ze wszystkimi tego konsekwencjami (sankcjami), dochowując wierności własnym przekonaniom, czy też przekonania te stłumić, poddając się woli prawodawcy państwowego. Naturalnie dylematy te, jeśli mają być prawdziwe i poważne, dotyczyć muszą spraw podstawowych, oczywistych, poddających się stosunkowo łatwo ocenie moralnej. Była o nich mowa na wstępie.

Historia, a także współczesność dostarczają nader licznych przykładów prawa, które bardzo wyraźnie kłóciło się lub nadal pozostaje w sprzeczności z normami moralnymi i dlatego łatwo jest rozpoznawane jako tak zwane prawo niegodziwe. O takim prawie ks. Piotr Skarga mówił, że może wyrządzić więcej zła aniżeli najgorszy tyran.

Nie chodzi tu tylko o prawo realizujące na przykład cele narodowego socjalizmu czy założenia ideologii komunistycznej, lecz może to także dotyczyć prawa pochodzącego od demokratycznie wybranego prawodawcy. Jako przykład można wymienić prawa, które stoją w ostrej opozycji do naturalnych, znanych od czasów Dekalogu, reguł moralnych dotyczących między innymi odbierania życia istotom ludzkim – niewinnym i bezbronnym – tak, jak to się dzieje w przypadku legalizacji aborcji lub eutanazji, oraz uznania za normę

w prawie zachowań dewiacyjnych i – co gorsza – wciąganie do tego, w zgodzie z prawem, nieletnich, dopuszczając do adopcji dzieci przez tak zwane małżeństwa homoseksualne. Chodzi tu również o przepisy, które pod pozorem tolerancji, liberalizmu i postępowości, ograniczają życie religijne, wolność sumienia, występują przeciwko tradycjom kulturowym danego narodu, doprowadzając paradoksalnie do nietolerancji mniejszości wobec większości.

W państwach demokratycznych krytyka tego typu prawa jest nawet trudniejsza aniżeli krytyka prawa pochodzącego od ustawodawcy totalitarnego. O ile bowiem temu ostatniemu można zarzucić brak tytułu do narzucania innym swoich praw, o tyle ustawodawca demokratyczny powołuje się na mandat uzyskany od większości wyborców.

I tu dochodzimy do trzeciego pytania: jaki jest sens, istota demokracji? To znaczy – czym demokracja naprawdę jest? U schyłku XX wieku trzeba by mieć dużo odwagi, aby kwestionować demokrację. Pomimo bowiem swoich licznych wad, dzięki mechanizmowi samooczyszczania w procesie wyborczym, daje ona obywatelom większe poczucie godności i bezpieczeństwa aniżeli jakikolwiek inny ustrój polityczny. Demokracja może jednak okazać się mało wydajna, a nawet groźna, jeśli – co często obserwujemy – sprowadzana jest do prostej reguły większości. Tymczasem nie podejmując próby pełnej definicji, można twierdzić, że demokracja jest tylko metodą, która ma dopiero doprowadzić do osiągnięcia wyższych wartości, dobra wspólnego. Wydaje się, że zapominanie o tej prawdzie prowadzi do wypaczonego obrazu demokracji i jest jedną z przyczyn zarysowujących się w wielu państwach Zachodu objawów dekadencji kulturowej.

W państwach postkomunistycznych zjawiska te ulegają jeszcze pogłębieniu na skutek trwającego kilka pokoleń programowego przeinaczania znaczeń słów należących do katalogu pojęć zajmujących najwyższe miejsca we wrażliwości społecznej. Niewolę określano jako wyzwolenie, tyranię nazywano demokracją (socjalistyczną bądź ludową), zagładę milionów ludzi – sprawiedliwością dziejową, grabież – uspołecznieniem, zdradę narodu – patriotyzmem, a patriotyzm – zdradą. Można nawet twierdzić, że pod względem hipokryzji haseł, skuteczności wypaczania wielu umysłów i okaleczania moralnego, a także ilości ofiar ludzkich i nie odkrytych wciąż wielkich nekropolii rozrzuconych na wielu miejscach ziemi, biorąc ponadto pod uwagę długotrwałą blokadę rozwoju cywilizacyjno-gospodarczego, komunizm stał moralnie nawet niżej aniżeli narodowy socjalizm, który w swojej barbarzyńskiej zbrodniczości był przynajmniej bezwstydnie jawny. Można tak twierdzić, chociaż lepiej nie licytować zła.

Jednak to wszystko sprawia, że – na zasadzie kontrastu – dużym odłamom społeczeństw państw postkomunistycznych stosunkowo łatwo jest wskazywać, jako na wzór, bezkrytycznie na wszystko, co dzieje się w demokracjach zachodnich. Ironią losu jest to, że czynią tak najchętniej byli funkcjonariusze tamtego układu politycznego lub ich polityczni spadkobiercy, dla których niedawni

wrogowie ideologiczni stali się z dnia na dzień idealnym wzorcem do naśladowania. Jest to zapewne efektem przywiązania do marksistowskiej szkoły materializmu dialektycznego i stawiania na pierwszym miejscu skutecznej metody. Przykładem tego może być wypowiedź jednego z bardziej prominentnych polityków polskiej lewicy, który w kontekście głosów opowiadających się za potrzebą liberalizacji tak zwanej ustawy antyaborcyjnej, za rozwiązaniami zezwalającymi na eutanazję oraz małżeństwa homoseksualne, odwoływał się do przykładu demokracji zachodnich. Był to jego główny argument oraz powód do troski o to, aby Polska – jak się wyraził przed kamerą telewizyjną – dołączyła wreszcie do standardów tamtych państw. Nie dodał jednak, że nawet tam problemy te wywołują ciągle dyskusje, sprzeciwy, a nawet demonstracje uliczne. Co gorsza jednak – można mieć obawy, że wielu polskich polityków będzie eskalować swoją chęć bezrefleksyjnego wzorowania się na tych sferach subkultury euroamerykańskiej, które wywołują poważne zagrożenia dla całej cywilizacji, mimo że występują w sprawnie funkcjonującym mechanizmie demokracji. A przecież jest wiele innych dziedzin, które mogą być dla nas prawdziwie godnymi przykładami i wzorami do naśladowania, dla których warto podejmować wysiłki przyłączenia się do struktur Zachodu.

Wszystkie przedstawione wyżej problemy mają wspólny mianownik. Jest nim – znów wywodzące się z doktryny pozytywistycznej – oderwanie prawa od moralności. Ciekawa, niekiedy nawet zaskakująca jest współczesna argumentacja za koncepcją postulującą oddzielanie norm prawnych od norm moralnych. Jeden z profesorów prawa, często zabierający publicznie głos na te tematy, krytykował w ostrej formie zwolenników prawa naturalnego. Za jeden z głównych argumentów mających świadczyć przeciwko koncepcji prawa naturalnego (a więc między innymi harmonii pomiędzy prawem stanowionym przez państwo a podstawowymi zasadami etyki) uznał on to, że nie wszyscy ludzie uznają identyczną aksjologię, a zatem oparcie prawa stanowionego na jakimś jednym systemie wartości nie zadowalałoby wszystkich, podczas gdy prawo powinno satysfakcjonować ogół obywateli. Taka argumentacja jest na pierwszy rzut oka bardzo pociągająca. Oparta jest jednak na fałszywym założeniu, że możliwe jest ustanowienie prawa zadowalającego wszystkich. Chyba że stanie się na stanowisku, że o tym, co może odpowiadać obywatelom, decyduje ustawodawca. Jednak tego ostatniego argumentu od czasu tak zwanej monarchii oświeconej nikt jawnie nie podnosi. Trzeba zatem uznać, że jeśli norma prawna będzie niezgodna z normą moralną uznawaną przez część obywateli, nie będą oni zapewne takim prawem usatysfakcjonowani. Będą bowiem oczekiwać raczej harmonii, a nie konfliktu pomiędzy obydwoma rodzajami norm. Dlatego naiwne wydają mi się poglądy głoszące możliwość ustanowienia przez państwo takiego prawa, które odpowiadałoby wszystkim adresatom. Im rozbieżności powyższe dotyczyć będą większej liczby obywateli, tym sprawa nabierać będzie odpowiednio większego znaczenia, a jeśli dotkną one więk-

szości, może być to powodem dramatu społecznego. Ale także z przyczyn, o których była mowa wyżej, nie zawsze byłoby dobrym rozwiązaniem odwoływanie się w takich sprawach do prostej reguły większości (na przykład poprzez referendum). O podstawowych normach moralnych, na których ma się opierać prawo stanowione, podobnie jak o prawdzie przyrodniczej, nie ma sensu rozstrzygać w oparciu o głosy większości. Co byłoby warte referendum, w którym większość opowiedziałaby się za pozbawianiem ludzi własności, unicestwieniem jakiejś klasy społecznej lub nawet rasy ludzkiej (projekty referendum związanego z tą ostatnią sprawą pojawiły się w Niemczech nazistowskich po uchwaleniu tak zwanych ustaw norymberskich)?

Trzeba więc szukać innych, bardziej obiektywnych kryteriów, którym powinno odpowiadać dobre prawo. Mówi o nich najstarsza, ale do dzisiaj niezwykle żywotna i wciąż – mimo nieustających krytyk – odradzająca się koncepcja prawa naturalnego. Pomimo że znane są jej liczne odmiany, że w swej liczącej parę tysięcy lat historii przechodziła ewolucję, to jednak jej istota pozostała niezmienna, a jej walory są wciąż na nowo odkrywane. Widać to znowu ze szczególną ostrością po upadku obydwu wielkich totalizmów XX wieku i kompromitacji obowiązującego tam prawa. Wyrazem tego są na przykład pakty praw człowieka odwołujące się między innymi do przyrodzonej godności ludzkiej, która jest niezależna od jakiegokolwiek prawodawcy państwowego.

Przykład Polski wskazuje, jak nieporadna i nieskuteczna okazuje się w niektórych sytuacjach doktryna pozytywistyczna, która utrudnia, czy wręcz uniemożliwia, likwidację skutków obowiązywania prawa, które przecież było wyraźnie niegodziwe i dlatego powinno być obecnie uznane za nieważne od samego początku. Jego zwykłe uchylenie nie wystarcza, ponieważ zakłada, że przedtem było ono prawem obowiązującym obywateli. Tymczasem trudno jest nakazać obywatelom szacunek dla takiego prawa, podobnie jak nie można nikogo zmusić do szanowania przepisów, w oparciu o które konstruowano obozy koncentracyjne, gułagi, a miliony osób traciło życie, wolność i mienie.

A jak oceniać ludzi, którym wznosi się pomniki, pomimo – albo właśnie dlatego – że łamali obowiązujące prawa? Przecież pomniki wzniesione w kształcie krzyży w Gdańsku czy w Poznaniu upamiętniają czyny ludzi, którzy manifestując w miejscach publicznych swój sprzeciw wobec ówczesnej władzy, postępowali wbrew prawu. Skoro zatem uznajemy ich za bohaterów, nie możemy równocześnie twierdzić, że prawo, które łamali, wymaga szacunku przez sam fakt swojego obowiązywania. Byłaby w tym wewnętrzna sprzeczność. Aby jej uniknąć, dla ratowania autorytetu prawa, należałoby nadal traktować owych bohaterów tak jak przestępców, a w każdym razie nie należałoby stawiać im pomników. A przecież – na szczęście – tak nie jest. Górują tu bowiem inne, wyższe od aktualnie obowiązującego prawa wartości.

Prawo zasługuje na rzeczywisty, a nie tylko formalny autorytet jedynie wówczas, gdy jest godziwe (według określenia Stammlera: das richtige Recht),

to znaczy, gdy odpowiada standardom moralnym. Powstaje jednak zasadnicze pytanie: gdzie szukać owych standardów, skoro istnieje wiele różnych systemów aksjologicznych? Poprawna odpowiedź może być tylko jedna: w takim systemie aksjologicznym, który ma charakter najbardziej uniwersalny. Przy czym uniwersalność nie oznacza bynajmniej powszechnej akceptacji tego systemu przez wszystkich lub przynajmniej przez większość ludzi. Oznacza natomiast – z punktu widzenia naszych rozważań – między innymi to, że jego zasady nikomu nie zagrażają. Aksjologią taką jest zapewne system, który nakazuje miłość wobec wszystkich ludzi, nawet wobec nieprzyjaciół, a miłosierdzie stawia wysoko w hierarchii zachowań człowieka. System głoszący takie wartości nie może stanowić dla nikogo uzasadnionego powodu do lęku. Oczywiście nie można z tym mylić niegodziwego zachowania się poszczególnych osób, które werbalnie mogą wyrażać swoją przynależność do tego systemu wartości, ale swoim postępowaniem łamią jego zasady. Jest to jednak zupełnie inna sprawa, która nie powinna wpływać na ocenę samego świata wartości. Może to zresztą dotyczyć wszystkich ludzi, którzy identyfikują się z jakimkolwiek systemem aksjologicznym.

W naszym kręgu kulturowym nie ma potrzeby bliższego wyjaśniania, że chodzi tu nie o „chomeinizm", który jest ulubionym straszakiem wykorzystywanym przez przeciwników prawa naturalnego, lecz o chrześcijaństwo, którego podstawą jest przecież Dekalog i cała nauka Chrystusa.

Właśnie chrześcijaństwo stanowić może obiektywną podstawę porządku społecznego i opartego na prawdzie ładu prawnego. Wszelkie próby odrzucenia tej aksjologii kończyły się – jak dotąd – klęską człowieka, który przecież nie może bez tego zrozumieć sensu swojego istnienia.

Przypomnieć tu można analogię do sytuacji rozbitków morskich, którzy wyrzucili za burtę kompas i w celu określenia kierunków geograficznych podejmują rozpaczliwe próby ich wskazania poprzez głosowanie. Jest to wprawdzie bardzo demokratyczna metoda, ale czy rzeczywiście północ będzie tam, gdzie zadecydowała o tym większość w referendum? Pozornie tylko daje to ludziom poczucie własnej wielkości pozwalającej im zastępować prawa natury. Szybko jednak muszą się przekonać, że kompasu wskazującego prawdziwe kierunki nie da się zastąpić metodą głosowania, wolą większości.

Podobnie jest z ustawodawcą, który wierząc w nieomylność reguły większości, uchwala niekiedy prawa sprzeczne z porządkiem określonym przez Stwórcę w prawie naturalnym. Jeśli tak się dzieje, mamy do czynienia nie tyle z prawem, co z przepisami, które nie mają godności prawa (rzymskie rozróżnienie „ius" i „lex"). W związku z tym nie mogą przekonywać argumenty, że to, co jest niemoralne, powinno być zwalczane na drodze pozaprawnej, a nie za pomocą ustawy. Gdyby rzeczywiście miało tak być, trzeba by na przykład usunąć z obiegu prawnego niemal cały kodeks karny, który przecież wskazuje na czyny zarazem prawnie zabronione i niemoralne.

Dziwnym i niezrozumiałym znamieniem czasu jest niechęć czy nawet wstydliwe zażenowanie towarzyszące publicznemu poruszaniu tych tematów. A przecież nie sposób zaprzeczyć, że tak jak kultury Dalekiego Wschodu oparte są na religiach Wschodu, a kultura arabska jest nierozerwalnie związana z islamem, tak kultura euroamerykańska wyrosła z chrześcijaństwa, przy czym kultura polska od samego początku powiązana jest z katolicyzmem. Są to prawdy obiektywne, historyczne, których nie da się zanegować i nie ma racjonalnych powodów do ich przemilczania, czy tym bardziej do uczucia zażenowania. Osobisty stosunek do tych spraw poszczególnych osób, choćby nawet były to czołowe osobistości, nie powinien mieć żadnego wpływu na tę prawdę. Byłoby bardzo niedobrze, gdyby unikanie tej prawdy było w pełni świadome po to, aby móc bez jakiegokolwiek skrępowania, swobodnie, uchwalać prawa kłócące się z owym fundamentem kulturowym albo nie uchwalać lub przynajmniej zwlekać z podjęciem aktów prawnych z nim zgodnych. W tej sytuacji straszenie państwem wyznaniowym, w którym religia będzie wprowadzana do ustaw, obliczone jest na mało wyrobionych obywateli. Nie znam ani jednego poważnego zwolennika prawa naturalnego, który głosiłby podobne poglądy w odniesieniu do religii chrześcijańskiej. Być może jest to jakiś problem w niektórych państwach arabskich, ale jest rzeczą nieuczciwą przenoszenie go na nasz grunt. W naszych warunkach kulturowych chodzi jedynie o to, aby nie było ostrej kolizji pomiędzy treścią norm prawa stanowionego przez państwo a treścią norm moralnych wynikających z uniwersalnych wartości chrześcijańskich. Im większa harmonia będzie panować pomiędzy obydwoma rodzajami norm, tym większym szacunkiem będzie się cieszyć prawo, a wielu ludzi uchroni się od konieczności przyjmowania postaw schizofrenicznych: postępowania pod wpływem przymusu prawnego wbrew własnym przekonaniom moralnym lub łamania prawa, jeśli swoje zasady moralne stawialiby oni wyżej od wymogów prawodawcy. Jak już wspomniano, historia dostarczyła, niestety, licznych tragicznych przykładów pokazujących, czym kończy się odgraniczanie prawa od moralności.

Harmonia tych dwóch, pozornie tylko odrębnych światów, pozwalałaby utrzymać szlachetny ład w stosunkach społecznych, a poszczególnym osobom pozwalałaby zachować równowagę wewnętrzną ułatwiającą zrozumienie sensu istnienia.

Należy żałować, że Konstytucja RP z 2 kwietnia 1997 roku, pomimo że powstawała tak długo i w takich bólach, do końca nie rozwiała wszystkich wątpliwości i zagrożeń, jakie mogą pojawiać się w procesie tworzenia prawa. Są tam wprawdzie nieśmiałe wzmianki o przyrodzonej i niezbywalnej godności człowieka oraz o zapewnieniu każdemu człowiekowi prawnej ochrony życia (art. 38), ale ogólnikowość tych sformułowań powoduje realne niebezpieczeństwo podejmowania wciąż nowych prób interpretacji dotyczących na przykład czasowego zakresu prawnej ochrony życia, pozostawiając duży margines swo-

body tak zwanemu ustawodawcy zwykłemu. Dlatego niedobrze się stało, że odrzucono propozycję odwołania się w Konstytucji RP do prawa naturalnego.

Wszystko to powoduje, że problemy dotyczące związków prawa stanowionego przez państwo z normami moralnymi będą jeszcze długo aktualne. Dla dobra wspólnego i dobra poszczególnych osób nie można przestać o tych sprawach dyskutować.